

czliwości. Wszak dotychczas panował między nimi zawsze wrogi nastrój. Mówili ze sobą rzadko, a jeżeli kiedy przychodziło do jakiejś wymiany zdań, to na pewno padały ostre, nieprzyjemne słowa. Hela była nazbyt szczera, aby ukrywać swoje usposobienie względem ojczyzny, a Benert odwzajemniał się jej równie silnym uczuciem nienawiści. Nie lubił patrzeć na Helę. Może jej piękna twarz, tak żywo rysy ojca przypominająca, budziła w nim wspomnienie niemiłe i drażniła, jak wyrzut sumienia.

Dzisiaj jednak Benert zdaje się nie pamiętać o tem wszystkim. Zachowuje się tak, jakby harmonia pomiędzy nim a pasierbicą nie była nigdy zamąconą najłżejszym nawet dyssonansem. Uśmiecha się przyjacielsko i z pod ciężkich, sinawych powiek, przysłoniętych szklami w złotej oprawie, przygląda się Heli trochę badawczo, ale jednocześnie jakby dobroduszenie. Mimo to w mózgu dziewczyny powstaje jakieś nieokreślone podejrzenie...

— Czego on chce od niej? Po co tu przyjechał?

— Czy ojciec ma może jakiś interes w tych stronach do załatwienia? — rzuciła po chwili pytanie.

— To jest... właściwie tak!... Załatwię przy sposobności jedną drobnostkę... ale głównie chodziło mi o to, żeby cię odwiedzić!

Hela lekko wzrusza ramionami; nie wierzy.

— Jakże zdrowie mamy? Jak się ma Lila?

— Dziękuję ci! Zdrowe są obie. No, o twoje zdrowie pytać nie potrzebuję... Wyglądasz doskonale i... muszę ci to powiedzieć szczerze: pięknie. Słuchaj ci widocznie wiesz i ta samodzielna praca, do której się tak rwałaś.

Benert zaczyna, nie wiedząc dlaczego, śmiać się, a Helę przenika zimny dreszcz od tego śmiechu. Jest jej tak, jakby ją za chwilę miało spotkać coś złego. Panna Lidzińska milczy. Rozumie, że powinna coś mówić, pytać więcej o matkę, o siostrę, opowiadać coś może. Wie jednak, że cokolwiek powie, będzie to wymuszone i nieszczerze, pocóż więc mówić.

— Jakże czujesz się tutaj na wsi, w szkole?

— Dziękuję, zupełnie dobrze.

— Słyszałem, że z ciebie wielka działaczka. Prowadzisz pracę oświatową wśród chłopów.

— Zle ojca poinformowano. Nie jestem wcale żadną działaczką! Robię poprostu, co do mnie należy i koniec!

— Jesteś skromna. Podobno jednak masz duży wpływ na tutejszych chłopów. Ufają ci.

Szybkie, przenikliwe spojrzenie biegnie ku Heli z pod połyskujących szkieł.

— Nie wiem.

— Z dworem utrzymujesz stosunki?

— Tak.

— To dobrze, to bardzo dobrze. To jest odpowiednia dla ciebie sfera towarzyska. Ludzie bogaci i wpływowi. Z takich znajomości zawsze skorzystać można.

— Nie mam zamiaru korzystać!

— No, nie mówi się przecież o tem, żeby bezpośrednio korzystać, ale tak, coś, kiedyś, przy sposobności... w przyszłości... Mniejsza zresztą z tem. Czy państwo Walczakowie są młodzi?

— Młodzi.

— Czy mają zamiar stale mieszkać w Zalesinkach?

— Nie wiem, nie pytałam ich nigdy o to.

— Mogło się zgadzać samo przez się. Czy Zalesinki są przepisane na nazwisko pani Walczakowej, czy też prawną właścicielką jest jeszcze jej ciotka, pani Wolska.

— I o tem nic powiedzieć nie mogę.

Hela odpowiada coraz niechętniej. Pytania zaczynają ją niemiłe drażnić.

— Co jego to właściwie wszystko obchodzi?

— Czy ojciec długo zostaje?

— Tylko kilka godzin. Muszę być jeszcze dzisiaj w T...

— Aha! Więc on w T. ma jakiś interes, ale pociągnął do Zalesinek? Przecież nie z tęsknoty za mną — przemknęła Heli myśl.

— Zaprosisz mnie sądzić, Helu, na obiad.

— Oczywiście, proszę, tylko wątpię, czy ojciec będzie zadowolony... Jadam skromnie, po wiejsku, prawie po chłopsku...

— Nic nie szkodzi! Nie jestem wybredny. Jeżeli masz mleko i jajka, to wystarczy.

Hela nie może powstrzymać uśmiechu, który jej mimowoli wybiega na usta. Po raz pierwszy słyszy o tem, że ojczym nie jest wybredny w jedzeniu. Pamięta bowiem, że w domu bywały zawsze awantury, jeżeli jaka potrawa nie dość wykwintnie była przyrządzona.

Kiedy Hela uchyliła drzwi do izby Dorulowej, posłyszała, że gospodyni mówiła do kogoś:

— ...A jak się to umiała przytulić, udawać, że z ludziami trzymo, a pokazało się, jako jest!...

Nie zastanawiając się nad temi słowami, weszła nauczycielka do dusznej „piekarni“, kłębami pary, dobywającej się z wielkich garnków, zasnutej.

Dorulowa zawzięcie tłukła pałką w cebrzyku jedzenie dla świń. Twarz kobiety, zwykle pogodnie uśmiechnięta, zachmurzona była teraz i gniewna. Na skraju łóżka przysiadła jakaś kobiecina, która ciekawie łypnęła oczyma na wchodzącą Helę.

— Moja gospośiu, dajcie mi trochę przegotowanej woły! Sprzedajcie mi też z kilka jaj i niech mi Marysia skoczy do masarza po mięso!

— Marysia przy krowach, nimo casu, a ja jajek nimom — burknęła Dorulowa.

Zarówno te słowa, jak ton, którym były wypowiedziane i wyrażone niechętnie spojrzenie Dorulowej, uderzyły Helę niemiłe i zdumiały. Nie była przyzwyczajona do takiego zachowania się. Dotychczas gospodyni odnosiła się do niej z wielką życzliwością i ułatwiała prowadzenie skromnego gospodarstwa nauczycielki.

— Co wam to? Chorzy jesteście, czy może przykrość jaką macie?

Dorulowa nie odpowiedziała nic, tylko mocniej jeszcze pałką w cebrzyk tłuc zaczęła, jakby na tych „świńskich“ ziemniakach całą złość swoją wyrzucić chciała.

— Cóż to! Nawet mi nie odpowiecie?

— Ii!... Co ta pani nauczycielce o moją „odpowieść“!...

— Od kiedy to tak? Nie poznaję was, gospośiu...

— Ano, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie...

— O cóż się gniewacie na mnie?...

— E! Cobym się ta miała gniewać... Iao bez co było tak robić, jakby panienka o niczem nie wiedziała?!

— A juści!.. — przyświadczyła siedząca na łóżku kobieta.

— O czem?! Zmiłujcie się, Dorulowa, o co wam chodzi?...

— Niby to panna nauczycielka nie wi, o co... Takie to udawanie!...

— Ależ ja nie udaję! Ja naprawdę nie wiem!...

Dorulowa rzuciła nagle pałkę na ziemię, podpierała się rękami pod boki i, patrząc Heli prosto w oczy, zapytała:

— A ten pan, co do panny przyjechał, to nie ociec, co?...

— Nie, to nie ojciec, to drugi mąż mojej matki, ojczym. Ale cóż to ma do rzeczy?...

— Aha! Nie własny ociec, ale zawdy ociec!... To panna z nim o jednym wiedzieć musiała!...

— O czem, pytam się was?!

— Ano, o czemżeby, jak nie o tem przedawaniu Franczyne gruntu!... To pięknie tak zamrać się z żydami, na krzywdę sierocką dybać i jeszcze piękne mowy prawić i niby ludzi pouczać, co mają robić?!

Hela zbladła.

— Co! Co?! Mówcie jaśniej, o co chodzi, bo nie rozumiem!...

— Co tu jest nie do rozumienia? Przecież każdy we wsi, stary i mały wi, że ten panienki ociec to ten hadwokat, co z Wajkratem trzymo i grunt Franczyn jemu przehanglować chce!...

— Bóże!...

W okrzyku tym był taki bezmiar szczerzego bólu, że Dorulowa zamilkła i bacznie na swoją lokatorkę spojrzała.

— To mnsi... panienka i naprawdę nie wiedziała!

— Nie wiedziałam! Nie, wierzcie mi!... I to nie mój ojciec!... Mój ojciec nigdyby czegoś podobnego nie zrobił!... Ale ja nie pozwolę!...

Hela, zapominając o przygotowaniach do obiadu, wybiegła z izby.

— — — — —
Zapanowała nad swoim uniesieniem. Pozornie spokojnie koło pieca krzątać się zaczęła.

Benert usiadł przy stole i, tłumiąc lekkie poziewanie, przerzucał gazetę.

— Jakież to ojciec ma interes w T.? — rzuciła nagle pytanie, jakby od niechcienia, nie odrywając wzroku od rozbijanych na patelni jaj.

— Ach, drobnostka... Nie warto mówić o tem... Nic zajmującego... Choćby ci zresztą powiedział, nie znasz się na tem, więc nie zrozumiesz...

— Może zrozumieć...

— Czy cię to zajmuje?

— Trochę.

— Dlaczego?

— Bo ja domyślam się, o co chodzi. To rzecz idzie o sprzedaż gruntu Franki Sojkowej, gospodyni z Zalesinek.

Benert drgnął żywo.

— Skąd wiesz?

— Słyszałam... Mówią o tem we wsi... Proszę ojca, niech ojciec tej transakcji nie przeprowadza. —

powiedziała proszącym tonem, jakim dotychczas nigdy do ojczyzny nie przemawiała.

— Cóż ci znowu przyszło do głowy?

— Tam są małoletnie dzieci, które będą skrzywdzone i zresztą kawał polskiej ziemi w ręce takiego Weinkrauta...

— Moja droga, nie lubię, kiedy kobiety wtrącają się do interesów, na których się nie rozumieją.

Oczy Heli zapłonęły. Gwałtownym ruchem rzuciła na blachę pieca łyżkę, którą mieszała jajecznicę.

— Ja się na tym interesie rozumiem i wiem, jak on się nazywa!...

— Jakim ty tonem mówisz?!

— Nie o ton chodzi. ale o rzecz!... Ten „interes“ to jest rzecz niegodna.

Benert nie mógł wytrzymać jej śmiałego spojrzenia, spuścił głowę, zdjął szkła i zaczął nerwowo przecierać.

— Mówiłem ci już, że się na tych rzeczach nie znasz. Ta kobieta, jeżeli nie sprzeda teraz gruntu, to zostanie później bez grosza i ona i jej dzieci...

— Może znaleźć się inny kupiec. Tutaj we wsi nie brak bogatych gospodarzy, którzy kupiliby i zabezpieczyli przy kupnie spadek sierot...

— Cóż to? Masz zamiar robić mi przepisy?!

Nie wtrącaj się do tego, co cię wcale nie dotyczy... — Właśnie, że to mnie dotyczy! I jako człowiek uczciwego i jako Polkę i jako pasierbicę pańską, panie Benert! Tak, bo, niestety, jesteś pan mężem mojej matki, ojcem mojej siostry!

Benert zerwał się, blady z gniewu. Silnie ścisnął ręką poręcz krzesła.

— Jak śmiesz! Milcz!... Wroga sobie wychowałam w domu! Kto na ciebie pracował? Zebraczką byłabyś, zmarniałabyś, gdyby nie ja!

— O tem nie mówmy, bo nie chcę się zapomnieć... Dosyć, że oświadczam panu, iż nie pozwolę doprowadzić do skutku tego tak uczciwego, tak obywatelskiego interesu...

Benert opanował się już. Ironicznie spojrzeniem swoich stalowo pobłyskujących oczu zmierzył pasierbicę.

— Co? Nie pozwolisz? Proszę, i w jakiż to sposób zdołasz to uczynić? Zapominasz, zdaje się, że to ja, twój opiekun, jako nie pełnoletniej mogę zabraniać, lub pozwalać!

— Za kilka miesięcy kończy się pańska opieka! A co do sposobu, w jaki zdołam przeszkodzić, to jest bardzo poprostu... Jeżeli grunt Sojkowej, a także gospodarstwo Sobusiaków, zostaną sprzedane, to za kilka dni we wszystkich pismach krakowskich i lwowskich ukaże się wiadomość, że mecenas Benert, znany i szanowany obywatel, członek wydziału stowarzyszenia, mającego na celu obronę interesów narodowych, członek wielu innych towarzystw i t. d. i t. d.

— Milcz, zmij!

— ...Ze tenże pan mecenas Benert frymarczy ziemią polską, wydiera dobytek dzieciom po poległym żołnierzu i prowadzi interesy wspólnie z lichwiarzami i obcymi spekulantami!

— Tego ci żadne pismo nie umieści!

— Owszem, umieści, bo ja wezmę całą odpowiedzialność na siebie, podpiszę się pełnym imieniem i nazwiskiem, ja, Helena Lidzińska!

— Nie zrobisz tego, nie ośmielisz się!

— Ośmielę się i zrobię! Pan o tem wiesz dobrze, że mam silną wolę i słowa, raz danego, nie cofam...

— Zaskarżę cię o oszczerstwo! Pójdziesz do więzienia!

— Proszę, niech pan próbuje! Nie jestem wprawdzie prawnikiem, ale wiem, co to znaczy „przeprowadzić dowód prawdy“!

— Zmij! Progu mego domu przestąpić ci nie pozwolę!

— O, może pan być pewny, że go nie przestąpię! Nie pragnę tego wcale...

— — — — —
Rozpiąkaną, wyczerpaną sceną z ojczymem Helę tuliła w swoich silnych ramionach Dorulowa, jakby kogoś bardzo jej bliskiego i miłego.

— Panienko, panienko! Niekże panienka nie becy, bo oczów szkoda! Nie trza też żalu do mnie mieć za to głupie słowo, com w przedkości pedziała!... Wiadomo, człowiek omylny jest... A panienka, to tako jest, że ze świecą szukać! Nawet za dobro, za dużo o jenszych myśli, kie trza więcej o sobie! Franka się wściko i na panienkę odgrazuje, ale niechby co, dałabym ja jej! Ale jej, panienko, nic nie pomoże, tej ladaśnicy!... Pójdzie ona na przepadłe, imię i jej dobytek zmarni się. Na to już rady nijakiej nimol!...